

BALLADA O KUTERNOGACH

PAWEŁ SZLACHETKO



BALLADA O KUTERNOGACH

PAWEŁ SZLACHETKO



 **SAGA**
EGMONT

Paweł Szlachetko

Ballada o kuternogach

Saga

Ballada o kuternogach

Zdjęcie na okładce: Shutterstock

Copyright © 2013, 2020 Paweł Szlachetko i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788726511628

1. Wydanie w formie e-booka, 2020

Format: EPUB 2.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą SAGA Egmont oraz autora.

SAGA Egmont, spółka wydawnictwa Egmont

Mojej miłości, Ewie

Wtulony w ciemny kąt hangaru, za stertą złomu, próbował opanować ogarniające go drzenie porannego kaca. Z niedowierzaniem powtarzał w myślach niedawno usłyszane słowa: „Może być tego ponad sześć milionów dolarów”.

Matko Przenajświętsza! Cycek niemal krzyknął. Tyle szmalu! Wystarczy po niego sięgnąć!

Ciszę przerwał warkot zapuszczanych silników samochodowych. Trzask zamykanych drzwiczek. Światła reflektorów omiotły pustą halę fabryczną. Cycek skulił się jeszcze bardziej, jakby w obawie, że może zostać dostrzeżony. Gdyby tak się stało, nie wyszedłby stąd żywy.

Spojrzał na leżącą obok na posadzce pustą butelkę po winie.

A mówią, zachichotał w myślach, że alkohol prowadzi do zguby!

Przypomniawszy sobie minę matki, kiedy goniła go na lekcje niemieckiego. Nigdy nie sądził, że szwabsgadanie kiedykolwiek mu się przyda. A jednak... Wszystko już gdzieś, kiedyś zostało wyreżyserowane. Na szczęście nie spóźnił się na najważniejszą odsłonę sztuki, w której postanowił zagrać jedną z głównych ról. Cokolwiek by powiedzieć, miał fart! Stertę! Górę fartu! Mont Everest szczęścia!

Jeszcze przed godziną próbował się oszukiwać, że zdoła się podnieść, że jest silniejszy od gorzały, że jakby tylko zechciał, to... Przechylił wówczas flaszkę taniego wina. Im bliżej był dna, tym większe ogarniało go przerażenie. Co dalej? W końcu dzień dopiero się zaczyna. Nie ma co

sprawdzać w kieszeniach. Na drugiego szampana na ogryzkach go nie stać.

Wszystko zmieniło się w momencie, gdy uwagę Cycka zwrócił pisk opon hamujących za stertą hutniczego złomu. Gdy usłyszał o milionach, przerwał łapczywe opróżnianie butelki. Omal się nie zakrztusił z wrażenia. Bezskutecznie próbował powstrzymać gwałtowny napad kaszlu. W końcu okręcił głowę ortalionową kurtką, ze wszelkich sił powstrzymując narastający spazm. Gdyby został odkryty, rura, w której miał legowisko, stałaby się jego trumną.

Samochody odjechały. Odczekał jeszcze i upewnił się, że jest sam. Potem ostrożnie wydostał się spomiędzy zardzewiałych i pogiętych blach, rur i stalowych płyt. Prostując plecy, chwycił się za obolałą głowę. To te wczorajsze alpagi... Jak można produkować takie świństwo?

Kiedy stanął na nogi, świat przez jakiś czas niebezpiecznie kołował, jakby i on łyknął wiadro ogryzkowej delirki. Cycek wziął kilka głębszych oddechów i przetarł oczy. Dotąd zawsze pomagało.

Dostrzegł swe odbicie w nie do końca wybitej szybie wielkiego okna fabrycznej hali. Marynarka z niemal oderwanym rękawem. Rozpięte spodnie. Sięgnął do rozporka, lecz nie znalazł guzików. Trafił za to dłonią na końce sznurka, którym był przewiązany w pasie. Zawsze coś. Ściągnął mocniej.

Ostrożnie przekroczył próg, obawiając się najgorszego. Miał rację. Świejące słońce skoczyło mu do oczu i oślepiło na kilka sekund. Jednocześnie przyłożyło mu w czachę gorącym prawym sierpowym.

Wyszedł na pustą betonową płytę. Pośrodku mieniła się kałuża. Skąd się wzięła? Czyżby w nocy padało? W mętnej wodzie powtórnie dostrzegł swe odbicie. Nie wyglądał najlepiej. Przejechał dłonią po zarośniętych policzkach. Sucha szczecina zakłuła w palce. Kiedy się ostatnio golił?

Chryste, ależ tu gorąco! Żeby choć trafić na kran z wodą... Cycek spróbował poruszyć językiem w wyschniętych ustach. Czas najwyższy skończyć z piciem. Wykąpać się, przebrać w świeże ciuchy. Może w domu jeszcze go pamiętają? Ostatnio ślubna groziła rozwodem. Ostatnio? Odkąd się pobrali, stale o tym gadała. Jęczała. Szlochała. Pieprzyć ją! Jakie ma to teraz znaczenie? Będzie bogaty!

- Ponad sześć milionów dolarów - wyszeptał. - Prawdziwa góra szmalu...

Mógłby za to kupić browar i codziennie kąpać się w piwie. Stop! Lepiej nie zapuszczać się myślami w rejony pachnące chmielem. Stamtąd już tylko krok do pragnienia skręcającego każdą komórkę ciała.

Wsunął dłoń do kieszeni, trafił na drobniaki. Zacisnął na nich palce i uśmiechnął się do siebie.

- Jeśli przepuścisz taką okazję... - Oblizał wyschnięte wargi, patrząc na swoje odbicie w kałuży. - To pij do lusterka, bo na moje towarzystwo nie masz co liczyć.

MĘŻCZYŻNA STOJĄCY na wzgórzu, ukryty w gęstych zaroślach, patrzył przez lornetkę na pustą szutrową drogę. Dwie limuzyny dawno już znikły; za cztery godziny jadący nimi mężczyźni przekroczą Odrę.

Jeszcze przez jakiś czas nad traktem unosił się szary kurz, by wreszcie zniknąć, rozwiany leniwymi podmuchami wiatru. Mężczyzna sięgnął po okulary przeciwsłoneczne. Piękny dzień. Wciągnął głęboko w płuca nagrzane słońcem powietrze.

Nie śpiesząc się, przetarł szkła. Jego zadanie, jako zabezpieczającego spotkanie, dobiegło końca. Skąd przyjechali uczestnicy? Kilku było Polakami, pozostali bez wątplenia przybyli z Niemiec. Biorąc pod uwagę ich akcent, zapewne z Saksonii. Jakie mogli mieć w Polsce interesy?

Wzruszył ramionami. Nie jego sprawa. O niektórych rzeczach lepiej nie wiedzieć.

Lustrując okolicę przez lornetkę, Haini kilka razy zatrzymał się na przybyłych. Przypominali szacownych biznesmenów, doskonale ubranych, o nienagannych manierach, którzy godzinę wcześniej mogli jeść lunch z ministrem lub premierem. Kiedy jednak wysiadali z luksusowych aut i rozglądali się wokół, na ich twarzach nie było dezaprobaty, ale zadowolenie, zupełnie niepasujące do śmietnikowego otoczenia. Doskonałe miejsce na poufne rozmowy.

Haini wsparł kolbę karabinu snajperskiego na biodrze. Nic tu po nim. Może złożyć sprzęt i jechać na kolację z tą małą. Gdyby był wierzący, ostatniej nocy okrzyknąłby ją cudotwórczynią...

Rozejrzał się po okolicy. Kilkaset metrów dalej, za olbrzymim nasypem stała kolejka ciężarówek. Obdrapana koparka leniwie unosiła ramię i napełniała żwirem wielką stalową łychę. Potem, równie wolno, wysięgnik powracał nad pakę i nowy tuman pyłu leciał w powietrze.

Ruszył do samochodu. Otworzył bagażnik i przysunął do siebie podłużny neseser. Otworzył chromowane zatrzaski i wziął się do rozkładania karabinu. Zwolnił rygle okularu celownika, z komory nabojoyej wyjął lśniący pocisk, który wsunął w specjalne zagłębienie futerału. Odjął lufę od drewnianego łoża. Rozmontował kolbę, wszystko starannie układając w walizce. Raz jeszcze obrzucił wzrokiem wielki betonowy plac z rozpadającą się halą. Cisza, spokój.

Głupiego robota, zachnął się w myślach, ale w końcu nie płacono mu za filozofowanie. Mógł być z siebie zadowolony. To on zaproponował spotkanie w zapomnianym przez Boga i ludzi składowisku betonowych prefabrykatów i złomu. To również on gwarantował, że w zebraniu nie weźmie udziału nikt niepowołany. Niezła forsa za banalną robotę.

Schował neseser do bagażnika samochodu i narzucił nań pled. Sięgnął po komórkę, by powiadomić Margot, że za dwa dni wróci do Monachium. Pojadą na wieś do rodziców. Wybrał numer, przyłożył słuchawkę do ucha i zamarł w bezruchu.

Nieprawdopodobne!

Telefon omal nie wypadł mu z dłoni! A jednak! Haini delikatnie rozgarnął gałęzie rozłożystego jaśminu. Z niedowierzaniem patrzył na obdartusa, który wyszedł przez wyłamane wrota.

Odrzucił pled. Otworzył neseser. Zmontowanie karabinu zajęło mu kilkanaście sekund.

Ponownie odsunął gałęzie. Spojrzał przez okular celownika. Ile tamten może mieć lat? Czterdzieści? Pięćdziesiąt? Niechlujny wygląd, kilkuniedniowy zarost, niepewny krok wskazywał na pijaczka, który walczy z wczorajszym kaczem. Oberwaniec rozejrzał się podejrzliwie na boki, najwyraźniej w obawie, że może zostać zauważony. A to oznaczało tylko jedno – był świadkiem spotkania, o którym jak najszybciej powinien zapomnieć. Gdyby jego uczestnicy dowiedzieli się o tym lumpie... Haini byłby martwy.

Poprawił ostrość i położył palec na spuście. Mierzył w głowę. Od celu dzieliło go czterysta metrów; z tej odległości nie można chybić. Już miał strzelić, gdy kątem oka dostrzegł radiowóz wyjeżdżający zza rogu budynku. Zdjął palec z cyngla.

Siedzący w aucie policjanci najwidoczniej dostrzegli pijaczka, bo skierowali się w jego stronę.

Obdartus próbował uciekać, ale po krótkiej gonitwie został złapany. Ponieważ się szarpał, jeden z mundurowych wymierzył mu kilka kopniaków na uspokojenie i zatrzymany wylądował na tylnym siedzeniu.

Rozdział 1

Strażnik wsunął klucz w zamek. Szczęknięły zapadki. Więzień poderwał się ze stołka. Zgodnie z regulaminem przyjął postawę zasadniczą, oczekując na wydanie polecenia. W pierwszym momencie rzucała się w oczy jego tyczkowata postać, na której więzienny uniform zwisał jak na drucianym wieszaku. Z obu rękawów wystawały wielkie, czerwone dłonie, sprawiające wrażenie odmrożonych. To one przykuwały wzrok patrzącego, zwłaszcza palce. Te bez ustanku zaplatały się jeden na drugim, wzajemnie pocierały, jak u szalonego pianisty rozgrywały na niewidocznej klawiaturze symfonię dla nadpobudliwych ruchowo.

Na głowie więźnia sterczały na boki siwe kosmyki włosów, które chyba nigdy nie zawarły znajomości z grzebieniem. Na jego twarzy, jak zwykle, gościł pobłażliwy uśmiech, który można było wziąć za wyrozumiałe pogodzenie się z nieuchronnością nadchodzących wydarzeń albo za jawną drwinę ze wszystkiego i wszystkich.

Klawisz obrzucił pomieszczenie uważnym spojrzeniem. Łóżko prawidłowo zasłane, z kocem ułożonym w nogach w regulaminową kostkę. Aluminiowe talerze i sztućce na okiennym parapecie. Nie musiał zaglądać za przepierzenie. Kibel z pewnością lśnił tego poranka jak nigdy dotąd.

- Bajerant, wysiadka! - rzucił ostro mundurowy dla dodania sobie animuszu.

Tolo przez całe więzienne życie miał gdzieś regulaminy, przepisy, zalecenia i dobre rady. Tym razem jednak nie zaryzykował zatargu. Funkcjonariusz w progu patrzył zdezorientowany, a więźniowi przyszło do głowy, że facet

cierpi na permanentne rozwolnienie, zaś jego zapiekła mina i kreska zamiast ust sugerują, że gość ma spięte na maksa pośladki i ze wszystkich sił stara się nie popuścić w spodnie.

Jak zwykle po wzrokowej wymianie zdań w spojrzeniu strażnika pojawił się wyraz drwiącej wyższości, który mówił jednoznacznie: „Tylko mi teraz podskocz, to z tobą zatańczę!”.

Tolo doskonale znał ten typ. Tacy przez życie przemykają chyłkiem, z obawą na twarzy, że przez kogoś zostali zauważeni, a przez to narazili się niepotrzebnie. Kiedy jednak są pewni przewagi... Lepiej z nimi nie zadzierać, bo dadzą solidnie w kość.

- Zbieraj się! - Strażnik wskazał na korytarz.

- Tak jest!

Osadzony sięgnął po złożony w kostkę koc, po miskę i sztućce. Postąpił kilka kroków, przeszedł przez próg i na korytarzu ponownie stanął na baczność. Powiódł wzrokiem po piętrze.

Ściany niedawno pomalowano na miodowo, co miało uczynić naturę ludzką bardziej pogodną. Bo w takim miejscu optymizm jest towarem deficytowym.

Więzień nie miał zamiaru tu wracać. Był na to za stary i po długich latach odsiadki za mądry. Za murem znajdzie sobie posadę. Kiedyś marzył o pracy w cyrku; nocami śniły mu się występy na arenie, oklaski widzów. A teraz?

Nie musi dużo zarabiać. Małą łyżką też można się najeść...

Powrócił pamięcią do twarzy przyjaciół. Czy nadal mógł ich za takich uważać?

- Gdzie się gapisz? Nie słyszałeś, co mówiłem? - Klawisz trącił go w ramię. Kazał iść za sobą.

- Bajerant! Trzym się, brachu! - krzyknął ktoś z pierwszego piętra.

Podniósł głowę, jakby chciał dojrzeć twarz między gęstymi oczkami rozdzielającej poziomy siatki, i wpadł na strażnika, który akurat odchyłał skrzypiące skrzydło kraty. Wykorzystując jego nieuwagę, Tolo na sekundę zagłębił dłoń w kieszeni klawisza.

- Co jest? - Potrącony poprawił przekrzywioną czapkę.

- Nic, nic... - bąknął więzień z udanym zaaferowaniem. - Niewielka kolizja. Już włączam wsteczny bieg i wycofuję gablotę na przepisową odległość.

Tolo dał krok do tyłu. Przyjął postawę zasadniczą z miną daleką jednak od powagi.

- Czy wy kiedyś zmądrzejecie?

Strażnik zmierzył złym wzrokiem tyczkowatą postać sześćdziesięciolatka o zmierzwionej siwej czuprynie. Miał już dość tego pajaca. Piętnaście lat temu, gdy zaczął tu pracę, prowadził go do celi. Dobre stare czasy... Jeszcze wtedy wierzył, że życie ma dla niego szczęśliwy kupon totolotka, ale wkrótce mu przeszło. Teściowa, na szczęście, długo nie siedziała im na karku. Odziedziczyli po niej kawalerkę. A za rok wreszcie dostanie przydział na mieszkanie służbowe, przynajmniej tak usłyszał w kadrach. Niech ich szlag! Podobnie mówili po roku służby, po pięciu i dziesięciu latach. Identyczny kit wcisnęli mu dwa dni temu. A on dziś wróci do domu i znowu dostanie ochrzan od żony, która, gdyby mogła, już dawno puściłaby go w trąbę. Tylko kto połaszczy się na fiołkowe oczy oprawione w sto dziesięć kilo żywej wagi?

Może dlatego właśnie z dnia na dzień i z miesiąca na miesiąc coraz bardziej denerwowała go gęba idącego z tyłu więźnia? Czuł się tak, jakby odsiadka dotyczyła jego samego. Z biegiem lat klawisz znalazł sposób na utemperowanie każdego z podlegających mu osadzonych. Każdego, tylko nie tego błazna.

Podczas kilku ostatnich nocy wykombinował taką układankę, że i ten pajac musiałby pęknąć. Wreszcie Tolo zostałby pognębiony, a on wygrałby toczony od lat pojedynek. W domu miał przesrane, sąsiedzi mieli go za nic. Nawet dzieciaki na ulicy spluwały za jego plecami. Tylko za murami więzienia był kimś. Chciał to udowodnić i sobie, i temu dryblasowi podrygującemu teraz za jego plecami.

Pieprzony magik, zaklął w duchu. A gdyby jeszcze trochę posiedział, dobrałbym mu się do dupy!

Więzień uśmiechnął się do mundurowego szeroko. Kiedy wychodzili z celi, zobaczył w jego oczach rezygnację, jakby tamten wreszcie uświadomił sobie, że przegrał.

- Przez tyle lat próbowałeś przytrzasnąć mi jaja... - prychnął Tolo pogardliwie. - Ale jesteś cienki Bolek. I sam o tym dobrze wiesz, kieszonkowy onanisto.

- Mówiłeś coś? - Strażnik się obejrzał.

- Ja?

- A kto? Duch Święty?

- Przecież nie było polecenia.

Klawisz zacisnął zęby w bezsilnej złości.

Ruszyli korytarzem, który osadzeni nazywali „sraczką”. Z jednej strony sugerował to kolor ścian wymalowanych jasnobrązową olejną farbą, z drugiej zaś... To tędy prowadzono skazanych do cel, które na wiele lat miały stać się ich domem. Tędy również wiodła ich droga powrotna ku wolności. W tę czy w drugą - konwojowany za każdym razem miał sraczkę. Raz z powodu strachu, co go czeka za kratą, raz zniecierpliwiony, kiedy wreszcie będzie mógł splunąć za siebie i wytrzeć nogi o trotuar za więzienną bramą.

Tolo zaczął pogwizdywać do melodii Czerwonych Gitar, płynącej przez więzienny radiowęzeł:

„Powiedz, stary, gdzieś ty był.

*Dziwną minę masz.
Pewnieś zwiedził Rzym lub Krym
już nie jeden raz.
Możeś wiatry w polu gnał,
aż zgubiłeś ślad.
Powiedz, gdzieś pod rynną wpadł?”.*

Zapachniało odległą wiosną. Dawną beztroską. Leniwym wylegiwaniem się na kocu w czasie majówki. Zaciągniętym burzowo horyzontem. Nieoczekiwaną ciszą poprzedzającą pierwszy, jeszcze odległy grzmot. Piskiem dziewczyn uciekających przed kroplami deszczu. Jak brzmiał tamten wiersz Jasnorzewskiej? „Niebo się gniewa, obłoki nadbiegają w tłumie! Szczęśliwe drzewa! Będą się mogły wyszumieć”.

- Że co?

- Nie było polecenia.

Chwilę później melodia z radiowęzła przycichła.

- Piątego sierpnia kumplowi z pawilonu trzeciego wafle i swojaki z Wroniek życzą samych radości po pięciu tysiącach czterystu siedemdziesięciu pięciu dniach odsiadki.

Tolo uśmiechnął się do podwieszonego pod sufitem głośnika. Coś ścisnęło go za gardło. Jeszcze tylko tego brakuje, by zażądać natychmiastowego widzenia z naczelnikiem i błagać o przedłużenie...

Nic z tego. Wreszcie, po odsiedzeniu trzech czwartych kary, przyznano mu prawo do warunkowego zwolnienia. Nigdy nie miał dyscyplinarki. Od piętnastu lat w dziennikach wychowawców widniał niezmienny wpis: „Osadzony zachowuje się bez zarzutu, a jego działalność na rzecz społeczności skazanych wskazuje na pozytywne rezultaty wychowania resocjalizacyjnego”. Choć dzisiejszy konwojent co jakiś czas próbował go prowokować. Raz nawet Tolo omal nie stracił nad sobą panowania i nie

przyłożył mu w wylupiaście ślepia, w pierwszym półroczu odsiadki. Potem jednak więzień był już na tyle sprytny, że zawsze udawało mu się omijać tutejsze rafa.

Kiedy zatrzasnęła się za nim krata, nie zamierzał beczynnie spędzać dni, tygodni, miesięcy i lat. Miał pomysł na założenie w pudle kółka dramatycznego.

Uśmiechnął się na wspomnienie pierwszego przedstawienia. Ponieważ osadzono go w jednym z najcięższych zakładów karnych, na sali siedzieli „najgorsi kochankowie Temidy”, jak wołali na siebie w żartach skazani na największe zbrodnie.

Występ zakończył się totalną klapą. Oto na scenę wszedł Gabrys Brzytwa, grube, zwaliste chłopisko o twarzy cherubina i cieniutkim głosie, jakby nigdy nie przeszedł mutacji. I zaczął recytować: „Litwo, Ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie. Ile cię trzeba cenić...”.

- O czym on pieprzy? - wrzasnął z tylnego rzędu kurdupel przezywany Listeczekiem.

Jeden ze strażników poderwał się i zmierzył krzykacza złym spojrzeniem.

- Czego drzesz japę, głąbie, kiedy wieszcz do ciebie przemawia?

- Jaki wieszcz? - odciął się Listeczek. - Przecież to Gabrys Brzytwa, co to puszczałską żonę pokrajał na plasterki. A poza tym Litwa nie jest już nasza. Więc co on mi tu będzie farmazony wciskał?

Potem poszło już lepiej, bo przerzucili się na lżejszy repertuar. Dzięki temu czas szybciej leciał, a i Tolo miał powód, by po dziesięciu latach i dwóch miesiącach, czyli po połowie kary, zacząć ubiegać się o przedterminowe zwolnienie. Jednak na pozytywne rozpatrzenie wysyłanych podań musiał poczekać jeszcze kilka lat...

Wreszcie, za czwartym razem, komisja w Ministerstwie Sprawiedliwości zaopiniowała pozytywnie i oto teraz Tolo

żeglował w stronę portu docelowego z napisem „wolność”.

Życie za kratą minęło i niech nigdy nie wraca!
Dyskretnie splunął przez lewe ramię, trzy razy, dla
odpędzenia uroku.

Skręcili w poprzeczny łącznik, który prowadził do
magazynu rzeczy osobistych. Idący przodem strażnik minął
więźnia, który na kolanach zmywał posadzkę.

- Siemanko, Bajerant. - Czterdziestolatek o
wytatuowanym policzku puścił oko. - Klepnij za mnie
zdrowaśkę na wolności. Może spuszczą mnie wcześniej ze
smyczy?

- Jeśli będzie trzeba, dam nawet księdzu na mocniejsze
wino mszalne. Żeby wyjednał co trzeba u niebieskiego
Naczelnika - odparł Tolo i trącił współwięźnia w ramię.
Klawisz nie zauważył, jak z rękawa wysuwa się paczka
papierosów i wpada w dłonie klęczącego.

- Przecież nie palisz... - szepnął ze zdziwieniem
obdarowany, błyskawicznie chowając prezent za koszulę.

- Ja nie. Ale tamten tak.

Wartownik obejrzał się, słysząc dobiegające zza pleców
śmiechy, jednak napotkał tylko pytające spojrzenia.

- Że niby co? - warknął.

- Nie było polecenia.

Cholera, mundurowy zaklął w duchu po raz kolejny. Nie
ma sprawiedliwości na tym zawszonym świecie! Dlaczego
to on, a nie ja, wynosi się z tego zasranego miejsca?

- Powiesz mi coś na koniec? - rzucił na głos.

- ...?

- Jesteś Bajerantem czy zwykłym mitomanem? - Strażnik
wyszczерzył poźółkłe od tytoniu zęby.

- Dla was, panie sierżancie... - Tolo spojrział na zegarek.

- Już od trzydziestu dwóch minut jestem PANEM Antonim
Walickim.

Rozdział 2

Przylegający do więziennej rozmównicy „salon” był niewielki: trzy metry na trzy. Jego podłogę wyłożono bordowymi kamiennymi płytkami, ściany pomalowano na różowo. Na białej płaszczyźnie sufitu czyjaś ręka domalowała czarnym flamastrem kilka chmur i uśmiechniętą tarczę słoneczka.

Pod lewą ścianą stał stół z dwoma krzesłami, na prawo od drzwi kanapa obita ceratą. Tuż obok niewysoka szafka. Początkowo znajdowały się w niej szerokie papierowe ręczniki, które można było naciągnąć na kanapę jak prześcieradło, wkrótce jednak w „salonie” pozostawiano już tylko rolkę białego papieru toaletowego. W nogach łóżka tkwił wieszak, z którego i tak nikt nigdy nie korzystał.

Tu odbywały się rendez-vous par małżeńskich. Oficjalnie nazywało się to „intymne spotkania w celu omówienia kwestii rodzinnych”. W rzeczywistości, gdy tylko zamykały się drzwi...

Niektórzy próbowali się doliczyć dzieci poczętych na salonowej kanapie. Jednak po pięciu latach i dorachowaniu się czterdziestu bachorów prowadzący rachubę wyszedł na wolność i dalsze dodawanie zarzucono.

Tym razem jednak w „salonie” nie było słychać głośnych westchnień i trzasku pękających guzików odpadających od rozrywanej bluzki.

Przy stole siedział starszy mężczyzna, a naprzeciwko około dwudziestoletni chłopak. Stary był łysy jak kolano, młodemu opadające długie włosy zasłaniały całą twarz.

Obaj siedzieli pochyleni nad zeszytem zapełnionym matematycznymi wzorami.

Ołówek był długi, o ostro zaostrzonym końcu błyskającym grafitową igłą. Kręcony między palcami, o milimetry wirował nad blatem stolika, w niepojęty dla patrzącego sposób unikając niechybnego złamania.

Chłopak jednak nie patrzył. Znał ten mistrzowski pokaz.

Pochylony nad kartką, przebiegał szybko oczami rzędy cyfr zadania różniczkowego. Był przekonany, że siedzący na wprost niego jak zwykle patrzy na równanie, ale widzi wyłącznie dal, nieodgadnioną, znaną tylko sobie.

Kiedy młody rok temu po raz pierwszy przekroczył próg więziennej rozmównicy, zobaczył ponadsześćdziesięcioletniego, przygarbionego więźnia w szarym drelichu, o dokładnie wygolonej głowie. Mężczyznę średniego wzrostu, śmiesznie przekrzywionego na lewą stronę, jakby wyglądał zza węgła, czy przypadkiem ktoś nie nadchodzi. Pierwsze, co uderzało w jego postaci, to spokój. Można było odnieść wrażenie, że jest postacią z filmu, której ruchy – nie wiedzieć po co – celowo spowolniono.

Mimo oschłości, niemal ascetycznej surowości bijącej z jego postawy, jednocześnie coś doń przyciągało: emanująca z niego niewytłumaczalna łagodność i ciepło.

Wirujący ołówek nieoczekiwanie zamarł w bezruchu. Zaostrzony koniec zawisł nad dopiero co napisaną cyfrą.

– Jesteś pewien, Michale?

Chłopak podniósł wzrok i napotkał pytające, skupione spojrzenie, w którym kryła się chłopięca przekora, nieumiejętnie maskująca planowany żart. Bez zastanowienia skinął głową.

– Wybrałeś karkołomną drogę. – Słowa zostały wypowiedziane spokojnym, z pozoru beznamiętnym tonem.

Mężczyzna zaczął szybko wypisywać kolumny cyfr. Choć notował w odwrotnej pozycji, liczby układały się w równych

liniach. W pewnej chwili przerwał. Koniec ołówka ponownie zawisł pytająco w powietrzu.

- Co o tym myślisz?

Chłopak przebiegł oczami cały zapis. Równanie było niepełne; piszący zaznaczył jedynie węzłowe punkty obliczenia. Postępował jak malarz, który rzuca na płótno pierwszy szkic przyszłego obrazu.

- Co myślę...? - W odpowiedzi pokręcił przecząco głową.

- Tak byłoby łatwiej, ale...

- Ale...?

- Mniej ciekawie. - Dwudziestolatek uśmiechnął się i powrócił do rozwiązywania. Zawsze lubił matematykę, jednak dopiero siedzący na wprost niego odkrył ład, którego istnienia nie podejrzewał.

To dzięki więziennemu korepetytorowi zrozumiał, że nie chodzi wyłącznie o rozwiązanie zagadki, ale o swego rodzaju zabawę formą. Zamiast budowania - tworzenie.

Kiedy usłyszał o tym po raz pierwszy, był przekonany, że lata odsiadki pomieszały więźniowi w głowie. Ojciec jednak był uparty.

- Nie słuchaj, co mówi, tylko skorzystaj z wiedzy, którą posiada.

- Nie powiesz mi chyba - syn próbował oponować - że gość trafił do więzienia za udzielanie korepetycji niewłaściwym osobom?

- Przeszłość niech cię nie interesuje. Masz problemy na politechnice, a on może ci pomóc je rozwiązać. W dodatku za półdarmo.

No i ojciec postawił na swoim. Dzisiaj syn nie żałował.

Kilka minut później postawił długopisem kropkę przy wyniku końcowym.

- Doskonale. - Z pozornie obojętnego tonu po raz pierwszy przebijała nuta pochwały.

- Cieszę się, że pan...

- Ja sugerowałem prostszą drogę. - Ponownie przekora i ponownie badawcze spojrzenie, do którego był czas przywyknąć.

- Prostsza, ale szaroburą. - Michał roześmiał się cicho. - Sam pan mi kiedyś powiedział, że matematyka jest jak pisanie wierszy. Wielu potrafi składać zdania, ale niewielu umie tchnąć w nie ducha.

- Prawda, zapomniałem.

Na moment zapadła cisza. Zza okna dobiegał przytłumiony gwar rozmów na spacerunku. Krzywy o tylu ważnych sprawach zapomniał w czasie odsiadki, jednak o tamtej nie potrafił.

Stał w domu przy oknie, gdy zobaczył wjeżdżające na podwórko radiowozy; zatrzymały się i zaczęli z nich wybiegać funkcjonariusze. Jeden wpadł w głęboką kałużę i jakby zupełnie zapomniał, po co przyjechał. Zobojętniał mu pośpiech kolegów. Jedni obstawiali dom, inni ruszyli w stronę klatki schodowej. Nie zważając na nic, mundurowy zawrócił do samochodu. Zdjął półbut, wylał z niego wodę i zapatrzył się na brudną od błota skarpetkę.

Jeszcze wtedy Krzywy nie zdawał sobie sprawy, że przyjechali po niego. To prawda, że robił z chłopakami kozackie numery, jednak ryzyko za każdym razem było ściśle wkalkulowane w podejmowane działania.

Nigdy nie mylił się w wyliczeniach.

A mimo to pewnego dnia wkradł się do nich błąd, który kosztował go dwudziestoletni wyrok. Gdyby tylko chodziło o niego... Przez ten czas, dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, układał równanie, do którego celowo wprowadził fałszywe dane. Wszystko po to, by odsunąć od siebie poczucie winy. Zapomnieć.

Co będzie robił na wolności?

Chłopak, którego uczył dwa razy w tygodniu, uświadomił mu, że po wyjściu za mur mógłby udzielać korepetycji.

Oczywiście jeśli da się z tego wyżyć. Choć nie miał wielkich potrzeb.

Kiedy wreszcie znajdzie się za więzienną bramą, to... Zawsze w tym miejscu natrafiał na pustkę. Kiedy wreszcie będzie wolny... Wrócę do pokoju na poddaszu, na szczęście mam swój kąt. Tam z pewnością odnajdę spokój.

Pomyślał o bibliotece z ukochanymi książkami. To jego najbliższa rodzina. Obok, przy oknie, stoi tapczan okrywany na dzień wytartym niebieskim kocem z uśmiechniętym kocim pyszczkiem (jak byłem malutki, mama owijała pledem becik, niosąc mnie do żłobka, przypominał sobie). Przy tapczanie fotel i lampa z abażurem.

Uśmiechnął się na wspomnienie codziennych wizyt gołębi, które już o piątej stukały dziobami w parapet, dopominając się śniadania. Co bardziej zaprzyjaźnione wlatywały do pokoju. Siadały na ramieniu. Gruchały mu do ucha swoje tajemnice. Zwłaszcza jeden, z nakrapianymi brązem skrzydłami... Dotąd dziobał go w ramię, aż Krzywy nie ukruszył drobinę chleba i nie podsunął mu jej pod dziób. Potem cała skrzydlata hałastra odlatywała z trzepotem skrzydeł, a on był pewien, że spotkają się dnia następnego i znowu poplotkują w tylko im znanym języku.

Nieoczekiwanie szczęknęły stalowe drzwi. W szparze ukazała się głowa starszego sierżanta Służby Więziennej, Józefa Oczki. Nie dość, że klawisz tak właśnie miał na nazwisko, to jeszcze mrużył prawe oko, jakby niedowidział.

- Panie Andrzeju...

Nie zareagował. Dopiero gdy umundurowany położył mu dłoń na ramieniu, drgnął jak przebudzony ze snu.

- Czas na nas. - Stojący wsunął kciuki za pasek opinający kurtkę munduru i podciągnął go powyżej zaokrąglonego brzucha. Prawa dłoń odruchowo dotknęła kabury.

Krzywy podniósł się wolno z miejsca, zostawiając ołówek na stole. Po raz pierwszy, odkąd zaczęli się widywać, Michał

zobaczył na jego twarzy uśmiech. Więzień nieśpiesznie ruszył do wyjścia, powłócząc lewą nogą.

- Przepraszam... - Potarł w zamyśleniu czoło, odwracając się do wartownika. - Właściwie to którego dziś mamy?

- Poniedziałek. Piąty sierpnia 1994 roku.

Zanim przekroczył próg, Krzywy raz jeszcze spojrzał na siedzącego przy stole.

- Powodzenia na egzaminie.

- Myśli pan, że dam radę?

- Jestem tego pewien.

Na korytarzu skręcili w łącznik i zatrzymali się przed kratą. Zanim mundurowy wsunął klucz w zamek, niepewnie spojrzał na więźnia. Najwyraźniej chciał coś powiedzieć, ale jakoś nie bardzo potrafił wydusić z siebie pierwsze słowo. Może dlatego, dla dodania sobie animuszu, podkreślił niewielkiego siwego wusa.

- Coś się stało? - Krzywy nie bardzo rozumiał, dlaczego się zatrzymują.

- Proszę mi obiecać, że pan nie odmówi...

- Czego?

- Chciałem podziękować za syna... - Strażnik wyjął z kieszeni kilka banknotów i nieporadnie wysunął dłoń.

- Nie zrobiłem nic takiego. - Krzywy zrobił krok do tyłu.

- Jak to?

- Po prostu. Nic!

- Gdyby nie pan, mój Michał...

- Nie jest mi pan nic winien.

- Ależ... - Kławisz spojrzał na trzymane w dłoni pięćdziesięciozłotowe banknoty. - Wiem, to niewiele, ale mam chorą żonę... Właściwie sam utrzymuję rodzinę. Gdyby nie pańska pomoc... Proszę nie odmawiać!

Na twarzy Krzywego ponownie pojawił się uśmiech.

- Pieniądze to nie wszystko. Najważniejsze, żeby chłopak zdał na trzeci rok. To będzie dla mnie największą nagrodą.

Poza tym pański chłopak przypomniał mi dzisiaj o czymś bardzo ważnym.

- ...?

- Że niekiedy nie warto iść na łatwiznę.

- Mimo wszystko powinienem jakoś podziękować...

- Może kiedyś przyjdzie dzień, że będę potrzebował pomocy. Wtedy mi się pan zrewanżuje.

- Dobrze. Panie Andrzeju...?

Więzień spojrzał zaskoczony.

- Mówi pan do mnie po imieniu, zamiast... Krzywy? Coś się stało?

- No jak to? Dziś piąty sierpnia. Minęło południe.

Zgodnie z prawem, od dwudziestu minut jest pan już na warunkowym zwolnieniu.

SAMOCHÓD ZATRZYMAŁ się przed bramą; automat powoli odchylił jej skrzydła. Czarny mercedes wjechał na brukowaną kostką aleję, biegnącą przez starannie utrzymany ogród.

Hrabia wyjrzał przez przyciemnioną szybę, spoglądając na idealnie przystrzyżony trawnik i kolorowe kwiaty wysypujące się z kamiennych gazonów.

Dziwny ten świat, przebiegło mu przez głowę. Gdyby teraz widziała mnie mama...

Jako dziecko zawsze był na coś chory, a jeśli nawet nie był, wiecznie zamartwiająca się o niego rodzicielka zawsze coś wynalazła, by zagonić go do łóżka lub zaaplikować mu kolejny ważny proszek. „Ważny”. Zawsze używała tego określenia. Choć była zwykłą sprzątaczką w warszawskiej operetce, znała działanie wszystkich leków sprzedawanych w aptekach: na co jest jaka maść, proszek, mikstura lecznicza i jak stosować ziołowe napary.

Niekiedy zaglądały do nich sąsiadki, prosząc o poradę. Mama wysłuchiwała relacji o dolegliwościach, potem

wypytywała o jakieś szczegóły i wypisywała na kartce, co, jak, kiedy, dlaczego i w jakiej kolejności należy stosować.

Pod koniec wizyty zawsze wskazywała z dumą na syna i stwierdzała, że jej mały brał niedawno wypisane lekarstwa i te bezapelacyjnie pomogły w wyzdrowieniu.

Pewnego dnia odwiedził ich pan Kosiorek z poddasza. Matka długo go badała, osłuchiwała iypytywała o jakieś szczegóły. Wreszcie zawyrokowała:

- Panie Antoni, sprawa jest prosta: czas rzucić papierosy i przestać popijać z kolegami. No i regularnie się wysypiać. Co najmniej osiem godzin na dobę.

- A co z seksem?

- Ma pan słabe serce, więc radzę tylko z... własną żoną. Proszę pamiętać, że wszelkie inne podniety mogą być dla pana zabójcze.

Choć Hrabia był dumny z matki, pod koniec szkoły podstawowej zaczął podejrzewać, że wypróbowuje na nim działanie wszystkiego, co ma związek z medykamentami.

Do dziś brzmią mu w uszach jej słowa przy śniadaniu.

- Jak skończysz ogólniak, pójdziesz na studia medyczne. Jesteś zdolnym i pilnym uczniem, więc na pewno zostaniesz sławnym chirurgiem.

Hrabia nie był uczniem zdolnym ani tym bardziej pilnym. Był małym, chuderlawym dzieciakiem, wiecznie obijanym przez wyższych, grubszych i silniejszych. Dostawał za byle co: za wygląd, za to, że krzywo spojrzał, że kanapkę ma ze smalcem, a nie z kiełbasą, albo że w kiblu sika, gdy inni właśnie palą papierosy.

Czasami przed snem zastanawiał się, co by teraz zrobił swym dawnym dręczycielom. Gdyby, oczywiście, wiedział, gdzie mieszkają.

Zaparkował samochód przed domem. Wbiegł po kilku stopniach do drzwi wejściowych. W holu, przed salonem, siedział Beret, czytając jakąś książkę.

Hrabia zerknął na okładkę. *Co każdy mężczyzna wiedzieć powinien...* przeczytał.

- O czym chcesz się dowiedzieć? - Udał zainteresowanie.
- O kobietach.
- A co niby w nich takiego tajemniczego?
- Wszystko.
- Lepiej uważaj, bo jeszcze ukradną nam szefa - rzucił wesoło Hrabia.
- Spoko! - Beret odsunął książkę, pokazując pistolet wciśnięty za pasek spodni.
- Więc uważaj, żebyś sobie nie odstrzelił jajek.
- Dobra, dobra.
- Jak boss? - Hrabia udał obojętność.
- Chyba nie ma humoru. Więc lepiej uważaj, ważniaku, żeby ci nie odstrzelił tej przemądrzałej czachy.

Hrabia nacisnął na klamkę. Milewicz stał przed obrazem Rembrandta, nie mogąc oderwać od niego wzroku; malowidło było jedyną rzeczą, jaką boss kochał miłością bezgraniczną i absolutną. Dziwne, że można przywiązywać wagę do obrazu i tego, co przedstawia, nie zaś do tego, ile jest wart... Szef niechętnie wskazał wzrokiem stojące w rogu salonu fotele. Usiedli.

- Jak przygotowania? - Milewicz wypowiedział słowa ledwie słyszalnym głosem.

- Dom jest już wynajęty i przygotowany. Wśród sąsiadów rozpuściłem pogłoskę, że właściciel wyjechał na miesiąc do rodziny do Niemiec i przez jakiś czas zamieszkają w willi jego krewni z Hamburga.

- Najbardziej przekonujące są proste bajki.
- Pomyślałem podobnie...
- Prosiłem cię już kiedyś... - Głos mówiącego stał się przez moment lodowaty. - Nie myśl, tylko dokładnie wykonuj moje polecenia.
- Oczywiście.

- Co z granicą?
- Celnicy ustawieni. Ponieważ nie znamy dokładnej godziny nocnego tranzytu, podpowiedziałem opłacanym przez nas ludziom, aby zrobili małą rozsadę w dyżurach.
- Bank?
- Załatwiony... To znaczy, chciałem powiedzieć... - Hrabia poprawił się szybko. - Prawie załatwiony. Dziś wieczorem mam spotkanie z Filipowiczem.
- Powiedziałeś: dziś wieczorem?
- Tak.
- Cieszy mnie to.

Rozdział 3

Maszyna zajmowała pół blatu. Jej skomplikowana konstrukcja przyprawiłaby o zawrót głowy niejednego inżyniera; była misternym mechanizmem z tekturowych przekładni, tulei oklejonych srebrną folią, misternej gmatwaniny sznurkowych cięgieł, malutkich kół zębatach wyciętych w korze i papierowych pasów transmisyjnych. Całość podłączono do napędu ze sprężyny zbudowanej ze szpulki od nici i nakręconej na nią gumki. Ruszyła z cichym szelestem.

- Cholerka, zobacz, to działa! - Klęczący przy stole trzydziestoparolatek o twarzy wiejskiego matołka uśmiechnął się szeroko i klasnął w dłonie. Chwilę później wsunął palec do ust i zaczął go ssać z zapamiętaniem.

Stojący obok korpulentny sześćdziesięciolatek poklepał go po ramieniu, pomrukując radośnie. Był średniego wzrostu. Cała jego postać była jedną wielką krągłością: brzuch, twarz, policzki, nawet kształt ramion. Mimo wieku na głowie miał gęstą, ciemną czuprynę. Włosy kręciły się nad czołem w niesfornych lokach.

- A dlaczego miałoby nie działać? Powtarzam ci to już, Szczyłu, od pięciu lat. Zawsze trzeba wierzyć w sukces, jeśli zamierza się coś zrobić. Gdyby zamiast tych sznurków zamontować stalowe cięgiełka, prawdziwe przekładnie i koła zębate, wyszedłby z tego wspaniały dostawiacz chleba do krajalnicy.

Stary zbliżył twarz do pracującego mechanizmu, sprawdzając, czy wszystkie gumki mają właściwy naciąg.

Wszystko pracowało idealnie. Tak będzie przez kilkanaście sekund. Potem sprężynę trzeba będzie nakręcić ponownie.

- Wiesz co, Mateo? - Kłęczący na sekundę wyjął palec z ust, nie odrywając wzroku od maszynerii.

- ...?

- To już twój pięćdziesiąty szósty wynalazek. Zawsze zastanawiałem się, dlaczego na wolności nie zostałeś Kopernikiem albo Konopnicką?

- Konopnicka pisała bajki, a my przecież wymyślamy urządzenia.

- No ale żeby coś tam napisać, wcześniej trzeba tego pokombinować łepetyną, więc co za różnica? A ty masz głowę nie od parady. Ja to bym nawet powiedział, że od defilady.

- Te twoje skojarzenia czasami przyprawiają mnie o zawrót głowy...

- Jakie?

- Choćby parada i defilada.

- No właśnie. - Trzydziestolatek wyjął palec z ust. - Do wszystkiego trzeba mieć pomysłu. A ty go masz, że ho, ho...

- Nie cała zasługa moja.

- A czyja?

- Moja głowa, twoje złote ręce. - Mateo poklepał Szczyla po ramieniu.

W tym ubraniu wyglądał jak stary malutki; jego więzienna marynarka była jak ze starszego brata. Niestety, w magazynie nie znaleźli mniejszych.

- Ale i tak jesteś najmądrzejszy! - Szczyl ponownie przykucnął przy maszynerii, wpatrując się w precyzyjny mechanizm.

Mateusz roześmiał się głośno.

- Kiedyś też tak o sobie myślałem, aż spotkałem pewnego faceta...

- Faceta?
- Aha.
- I co on niby powiedział?
- Zadał mi zagadkę.

Szczyl spojrzał zaciekawiony.

- Lubię zagadki, ale nie za trudne. Opowiesz?
- Czemu nie?

Szczyl przysunął sobie krzesło i usiadł wygodnie.

- Wyobraź sobie, że jesteś panem A, któremu zależy na wysłaniu wiadomości panu Z.

- Takim zwykłym facetem?
- Jak będziesz przerywał, to zgubię wątek!
- Już milczę.

- Jesteś zatem panem A, któremu zależy na wysłaniu wiadomości panu Z. Nie chcesz jednak, żeby jakakolwiek postronna osoba zajrzała do twojej przesyłki. Dlatego piszesz list, który następnie chowasz do metalowej szkatułki i zamykasz ją na kłódkę.

- Spryciarz.
- Pakunek zanosisz na pocztę.
- To rozumiem.

- Co powinien zrobić pan Z., by nie zrywając założonej przez siebie kłódki, przeczytać znajdujący się w szkatułce list?

Szczyl zmarszczył czoło, intensywnie zastanawiając się nad odpowiedzią. Potem podrapał się po wystrzyżonej na jeża głowie.

- Strasznie to pogmatwane...
- No właśnie - przytaknął Mateusz. - Nie mogę znaleźć na to cholerstwo odpowiedzi od z górą dwudziestu lat.
- No, to jeszcze większe cholerstwo, niż myślałem. Ale z drugiej strony... - Szczyl znów podrapał się po głowie.
- Co?

- Nie lepiej, żeby jeden pojechał do drugiego i po kłopotcie?

- W tym rzecz, że obaj mieszkają od siebie strasznie daleko i to nie jest możliwe. A nie chcą dzielić się swoją tajemnicą z nikim postronnym.

- Co tam zagadki! Wolę to, co sami wymyśliliśmy. A raczej ty. Najfajniejsza była samołapka do odkręcania gorących żarówek, a potem ta... No... Wysuwaczka biurkowych szuflad!

- Fakt, to nam się udało.

- I jeszcze ten tomatyczny...

- Automatyczny.

- No mówię: tomatyczny zdejmowaczo-rolownik do zasłon... - Szczyl zamyślił się na chwilę. - Tylko wiesz co?

- Tak? - Mateusz przysunął sobie nogą krzesło i usiadł.

Młodszy mężczyzna spojrzał na niewielkie okno celi, zabezpieczone od wewnątrz gęstą siatką i solidną kratą.

- Może ja jestem głupi, ale...

- Wyduśże z siebie wreszcie!

- My nigdy nie mieliśmy tutaj ani biurka, ani zasłon.

Rozejrzał się po celi. Po lewej stronie od drzwi stała piętrowa żelazna prycza; on zajmował miejsce na górze, Mateusz na dole. Obok łóżek, tuż przy drzwiach, kibel z umywalką, oddzielone od reszty niewysokim przepierzeniem z dykty pomalowanej na biało olejną farbą. Pośrodku stół, dalej szafka, na której trzymali rzeczy osobiste. W rogu pomieszczenia leżały ułożone jeden na drugim, ich ostatnie wynalazki. Szkoda, że nie pozwolono im zatrzymać wszystkich... Tylko że wtedy nie wystarczyłoby miejsca dla nich obu.

- Jeśli spojrzeć na to z tej strony... - Mateusz przytaknął.

- Hm... Rzeczywiście, nigdy nie było tu zasłon. Jeśli zaś chodzi o biurko... - Rozejrzał się dokoła. - Nawet by się tu nie zmieściło. - Przesunął zapadkę i maszynieria stanęła.